

## Bezdziethość i małodzieethość

„Nigdy nie słyshałam, żeby w kościele modlono się za bezdzieethymi małżonkami, tęskniących za dzieckiem i nie mogących się go doczekać” – poskarżyła mi się kiedyś pewna kobieta. Niestety, musiałem przyznać jej rację, że ten dramat tysięcy bezdzieethymi małżonków jest o wiele za mało obecny w naszych kościelnych modlitwach.

Bezdzieethość jest dziś plagą. Wystarczy sobie uświadomić, że zapewne każdy z nas ma wielu znajomych, dla których brak dziecka stał się chyba najważniejszym problemem w ich życiu. Owszem, już Pismo Święte opisuje dramaty bezdzieethymi małżonków; w Księdze Mądrości znajduje się nawet pouczenie, że mądrze przyjęta bezdzieethość bardziej podoba się Bogu niż patologiczna wielodzieethość. Jednak dzisiaj bezdzieethość osiągnęła takie rozmiary, że stała się problemem niemal co piątego małżeństwa.

Ten bezmiar osobistych dramatów znajduje swoje odzwierciedlenie w innym naszym wielkim problemie społecznym, jakim jest trwający u nas w Polsce od roku 1989 niż demograficzny. W ubiegłym roku wskaźnik dzieethości, określający liczbę dzieci przypadających na jedną kobietę w wieku do 49 lat, wynosił zaledwie 1,22 – a to oznacza, że będzie nas coraz mniej. Do tego bowiem, żeby nas przynajmniej nie ubywało, powyższy wskaźnik powinien wynosić 2,1.

Zostawmy na boku taką bezdzieethość, która jest wynikiem decyzji małżonków. To może tylko warto przypomnieć, że małżeństwo zawierane z postanowieniem, iż „w ogóle nie chcemy mieć dzieci”, Kościół uważa za od początku nieważne. Teraz zastanówmy się nad niektórymi przyczynami bezdzieethości tych małżonków, dla których dziecko jest nieraz największym – i wciąż nieosiągalnym – marzeniem życia.

Bezdzieethość ma nie tylko przyczyny biologiczne. Chyba za mało zwracamy uwagę na jej przyczyny społeczne. Wiele par, które stają na głowie, żeby mieć dziecko, w pierwszych latach po ślubie zwlekało z decyzją na jego urodzenie. A zwlekało niekoniecznie z egoizmu czy wygody. Niestety, takie są dzisiaj czasy, że kobieta w ciąży, a nawet taka, która tylko przyzna się do tego, że zamierza wkrótce urodzić dziecko, ma niewielkie szanse znalezienia pracy (o awansie już nawet nie wspominajmy).

Sytuacja ta wpędza wielu młodych małżonków w błędne koło. Trudno decydować się na dziecko, kiedy gniazdo jeszcze nieprzygotowane (brak mieszkania, nieukończone studia, puste konto, itp.), ale trudno też od razu decydować się na dziecko, kiedy stabilizacja dopiero się zaczyna. Lęk przed utratą z takim trudem znalezionej pracy jeszcze dodatkowo sprzyja odkładaniu decyzji na rodzicielstwo.

Kiedy wreszcie małżonkowie chcieliby mieć dziecko, znajdują się już w wieku, kiedy zajście w ciążę może już nie być czymś prostym. Najlepsze lata, kiedy może łatwiej byłoby urodzić dzidziusia, minęły. Niekoniecznie z winy małżonków. Bardziej z winy nieżyczliwych dziecku praw drapieżnego kapitalizmu, których jako społeczeństwo wciąż nie potrafimy ujarzmić i ucłowieczyć.

Wysłuchałem niedawno odczytu dr. Stanisława Kluzy z Instytutu Statystyki i Demografii SGH na temat katastrofy demograficznej, która już się u nas zaczęła, ale to już ostatni moment, kiedy jeszcze są możliwości jej odwrócenia. Właśnie wszedł w czas rodzicielstwa wyż demograficzny z początku lat osiemdziesiątych i gdyby tylko zostały podjęte jak najszybciej odpowiednie decyzje, być może dałoby się jeszcze jakoś wyhamować ujemny przyrost naturalny i wciąż pogłębiający się spadek dzieethości.

Trzeba by – mówił dr Kluza – przede wszystkim położyć kres chorej sytuacji, kiedy system podatkowy uprzywilejowuje bezdzieethość, posiadanie zaś dzieci traktuje jako luksusową zachciankę. Osoby wychowujące dzieci nie dość że nie mają z tego tytułu ulg podatkowych, to muszą płacić podatek pośredni znacznie wyższy niż ludzie bezdzieethi – muszą bowiem kupować więcej jedzenia, więcej ubrań i więcej innych artykułów podstawowej potrzeby, a to wszystko jest przecież obłożone podatkiem pośrednim.

Tę dyskryminację podatkową można by chociaż trochę złagodzić, gdyby kwota wolna od podatku była

mnożona przez liczbę osób znajdujących się na utrzymaniu podatnika. Przecież sama idea kwoty wolnej od podatku wzięła się z założenia, że nie powinno być obciążone podatkiem to, co jest konieczne do zapewnienia minimum egzystencji.

Bo to naprawdę nie jest w porządku, że system podatkowy jest skonstruowany tak, jakby państwu wręcz zależało na tym, żeby ludzie mieli jak najmniej dzieci. I chyba zbyt mało mówi się u nas o tym, że ważnymi przyczynami dramatycznego spadku dzietności jest chore prawo podatkowe i bezduszne prawo pracy.

Nawet ostatnio zwierzali mi się małżonkowie z dziesięcioletnim stażem i tylko jednym dzieckiem, że boją się urodzić drugie dziecko, skoro mąż ma pracę tylko dorywczą, a żona musi się liczyć z tym, że w razie gdyby się zdecydowali na dziecko, ona swoją pracę może w ogóle utracić. Przecież to jest chore! Chory to system prawny i ekonomiczny, w którym przyjęcie już drugiego dziecka staje się decyzją na miarę zakupu luksusowego samochodu przez ludzi raczej ubogich.

Właśnie otrzymałem list od znajomych, którym udało się z trójką swoich dzieci wyjechać do Francji: „Nasza aktualna sytuacja ekonomiczna staje się z dnia na dzień coraz lepsza, a na pewno na dłuższy czas ustabilizowana. Mam stałą pracę, kartę pobytu na dziesięć lat, perspektywy na mieszkanie komunalne. Sytuacja naszej rodziny jest o niebo lepsza, niż mieliśmy w Polsce. W razie gdyby się stało coś nie dającego się przewidzieć, możemy być pewni pomocy socjalnej. Słowem, z głodu nie umrzemy”.

Żal człowieka ogarnia, że nie dość, iż u nas rodzi się tak mało dzieci, to jeszcze z tymi dziećmi, które się urodziły, nieraz trzeba wyjeżdżać do innego kraju, żeby nie musiały głodować.

Jacek Salij OP

"Gość Niedzielny", 29.05.2005